

FRANCISZEK PIECZKA (1928-2022)

# Życie jest proste

Był dobrym duchem teatru: gdzie był on, nie działo się nic złego

TEKST JACEK TOMCZUK, RENATA KIM

**P**arę dni temu rozmawiałem z Franiem przez telefon. Opowiadał mi o partii szachów, którą rozegrał z komputerem. Wyliczał najróżniejsze taktyki, jakie stosował, żeby z tym komputerem wygrać – mówi Kazimierz Kaczor.

– Dzwoniłem do niego dość regularnie z okazji świąt i urodzin. Planowaliśmy jeszcze raz się spotkać, najlepiej w Teatrze Powszechnym, chciał zobaczyć scenę, garderobę. Niestety, do spotkania już nie doszło – opowiada Janusz Gajos.

Jan Jakub Kolski zaproponował mu małą rolę, właściwie siedzącą, w swoim ostatnim filmie „Republika dzieci”. Aktor mówił, że głowa i serce chcą, ale nogi już go nie słuchają. Brzmiał bardzo smutno. – Ustaliliśmy, że trzymam dla niego tę rolę do ostatniego dnia zdjęć, ale potem przyszła pandemia i się nie spotkaliśmy.

Franciszek Pieczka zmarł w wieku 94 lat.

## UMIAŁ ODMAWIAĆ

**NIE ZNOSIŁ Blichtru**, TOWARZYSKICH SPEDÓW. Jan Jakub Kolski opowiada, jak na początku lat 90. pojechali z „Jańciem Wodnikiem” na festiwal filmowy do Swietłogorska koło Kaliningradu. Na bankietach stoły ugięły się pod ciężarem kawiorów, szampanów i koniaków, a królem imprezy był Nikita Michałkow, reżyser „Spalonych słońcem”.

– Mieliśmy tam być dziesięć dni, ale już po czterech Franek zapukał w nocy do mojego pokoju i zapytał: spierdalamy? – wspomina reżyser. O trzeciej rano „porwali” służbowy samochód i nikomu

nic nie mówiąc, uciekli. Parę kilometrów przed granicą Pieczka zobaczył stojącą przy drodze kobietę, kazał Kolskiemu się zatrzymać. Zapakowali Rosjanę do auta razem z jej koszami wypełnionymi po brzegi jajami. Wiozła je na granicę, na handel. Rozpoznała w aktorze Gustlika z „Czterech pancernych i psa”, chciała o tym rozmawiać, ale on szybko zmienił temat. Zapytał, jak się żyje w Rosji. – Widziałem, że to jest świat, którym jest zainteresowany dużo bardziej niż imprezami u Michałkowa – mówi Kolski.

Na planie Pieczka nigdy nie miał gwiazdorskich wymagań. Kiedy z Kol-

skim kręcili ich pierwszy wspólny film, „Pogrzeb kartofla”, jadł zupę na zderzaku ciężarówki marki Lublin. – Wielki aktor, ikona, po filmach z Wajdą, Kawalerowiczem, Hasem, Kutzem, gdzieś w polu, w błocie, bez słowa skargi przystaje na ten sam los co reszta ekipy. I jeszcze za każdym razem rozgląda się za jakimś psiakiem, z którym mógłby się podzielić resztką zupy – wspomina Kolski.

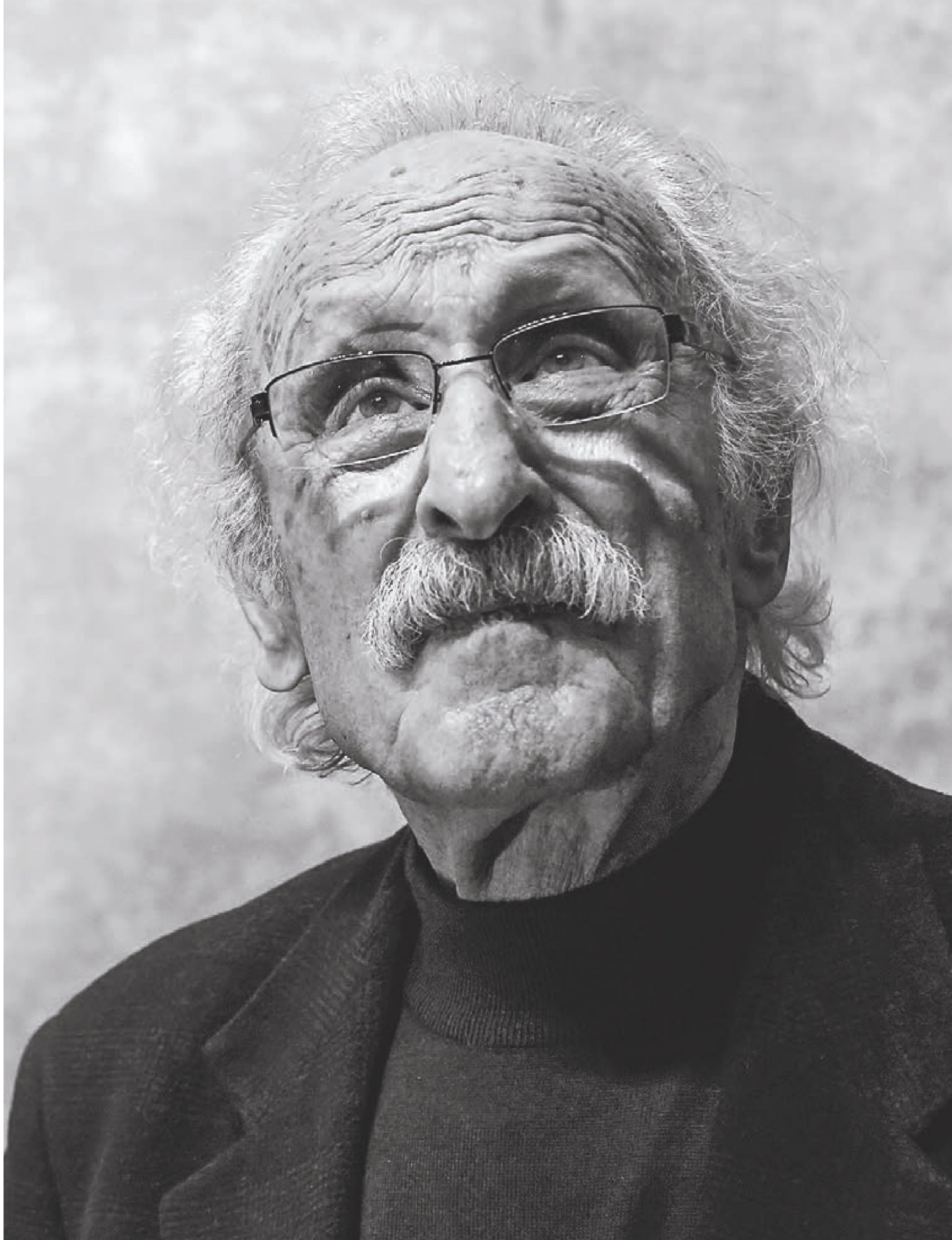
Kiedy kino po 1989 r. szukało nowych bohaterów, zgłosił się do Pieczki. Postać Jańcia Wodnika siedzącego na ławce i próbującego cofnąć czas stała się objawieniem polskiego kina i początkiem kolejnej fali zainteresowania aktorem.

– Cierpliwie znosił charakteryzację, kiedy godzinami musiał siedzieć na ławce z ciężką, plastikową brodą, wkopany w ziemię, omotany pajęczynami, z ptasimi gniazdami na głowie i ciężkim paltem na grzbiecie. W upale, bo to było w środku lata. I nie mówimy tu o młodym, początkującym aktorze – opowiada Kolski. – To nie był pracoholik, który musiał grać, czuł, że żyje dopiero, kiedy występuje, patrzy na niego publiczność albo obiektyw kamery. Aktor uzależniony od pracy musi być w ciągłym napięciu, czeka na scenę, próbę, dubel. Ciągłe w dyspozycji. A Franek nie lubił napięcia. Poza tym nigdy nie widziałem, żeby się spieszył. Aktorzy z jego pozycją po zdjęciach wsiadali w taksówkę, samolot, pędzili na inny plan, do radia, telewizji, teatru... Franek tak urządził swoje życie, żeby się przed tym obronić. Może dlatego, że niespecjalnie gonił za groszem. Nawet po „Jańciu Wodniku”, kiedy zasypały go propozycje, nie zmienił swoich nawyków. Umiał odmawiać – mówi reżyser.



**„Nie miał jeszcze 30 lat, ale w tym zawodzie był już kimś. Trochę się bałem, ale on przywitał mnie po śląsku: „Bydymy kamratami”**

TAK JANUSZ GAJOS WSPOMINA PIERWSZE SPOTKANIE Z PIECZKĄ NA PLANIE SERIALU „CZTERECH PANCERNI I PIES”





W roli Gustlika w „Czterech pancernych i psie” (1966-1970), odcinek piąty „Rudy, miód i krzyże”

Zdaniem aktorki Joanny Żółkowskiej brakowało mu cech, które ma większość aktorów. – Miał niemal zerowy poziom egoizmu, co właściwie jest niezbędne w tym zawodzie. Nigdy nie dawał do zrozumienia, że jego „ja” jest ważniejsze od innych, że coś mu się należy: uwaga, rola, czas... A jednocześnie pięknie wykonywał swój zawód.

#### NIGDY NIE NARZEKAŁ

**W 1939 R.**, KIEDY NIEMCY WKROCZYLI DO POLSKI, Pieczka był w piątej klasie podstawówki. Śląsk włączono do III Rzeszy, a polska szkoła zmieniła się w niemiecką, Franek chodził do niej trzy lata.

„Gdybym był starszy o 20 dni, to tak jak mój kolega wylądowałbym w Wehrmachcie. Bo on był z grudnia 1927, a ja z 18 stycznia 1928” – wspominał w „Gazecie Wyborczej”.

Po wojnie trudnił się przemytem z Czechosłowacji (do Polski szmugłował buty Baty, a Czechom przekazywał słoninę, alkohol i mięso), aż w wieku 18 lat zaczął pracę w kopalni. Wytrzymał rok, przestraszył się, że zachoruje na pylicę. Zwolnił się i zaczął naukę w Uniwersyteckim Studium Przygotowawczym w Katowicach.

Na scenę zaprowadziła go Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. W 1948 r. doszło do zjednoczenia PPR i PPS, kierownictwo szkoły wytypowało kandydatów na okolicznościową akademię. Tam Franciszek Pieczka po raz pierwszy recytował wiersze.

Po ukończeniu studium przez miesiąc był studentem Wydziału Elektrotechnicznego Politechniki Śląskiej w Gliwicach, ale rzucił indeks i pojechał do Warszawy, do szkoły teatralnej. „Aktorstwa nie wyssałem z mlekiem matki. Moi rodzice nie wyobrażali sobie, że mógłbym zostać komediantem. Na Śląsku ludzie twardo stąpali po ziemi. A dla mojego ojca górnik aktorzy to byli artyści głodu” – wspominał po latach.

Swoją najsłynniejszą chyba rolę Gustlika w „Czterech pancernych” zawdzięczał jednak śląskiemu pochodzeniu. – Reżyser pokazał mi na planie rosnącego mężczyznę: „To pan Pieczka. Idź się przedstawić, bo będziecie spędzali dużo czasu ze sobą” – tak Janusz Gajos wspomina pierwsze spotkanie na planie serialu. – Nie miał jeszcze 30 lat, ale w tym zawodzie był już kimś. Trochę się bałem, ale on przywitał mnie po śląsku: „Bydymy kamratami”.

Gustlik w załodze Rudego pełnił funkcję ładowniczego. W czołgu musiał się zmieścić z równie wysokim Wiesławem Gołasem, czyli Tomaszem Czereśniakiem. Zajęcie miejsc musiało zająć aktorom siedem sekund, zwykle dochodziło do kolizji.

– On jest długi, zanim się włądował do czołgu, to już mu siedziałem na głowie – wspominał Gołas. – „Tomuś, pieronie zatracony – kłął mnie Gustlik – kaj mi leziesz z tymi kulaskami na głowa!”.

– Na planie panowały surowe warunki, często nie było nawet wody. Poza tym brud, kurz i alkohol. Nawet Szarik był pijany. A Franio był chyba jedynym trzeźwym, przynosił swoje kanapki i szukał spokojnego kąta. I nigdy nie narzekał – mówi Maciej Wojtyszko, który wtedy jeszcze nie był reżyserem, tylko opiekował się psem pancernych.

Już wtedy na plan przychodził tłum ludzi, żeby zobaczyć aktorów, dotknąć ich, wziąć autograf. Pieczka odpowiadał na pytania, podpisywał kartki i zdjęcia. Janusz Gajos uważa, że popularność, jaką zdobył dzięki roli Gustlika, przyjął z ulgą i satysfakcją. Mógł wreszcie pokazać rodzinie, że miał rację, idąc na studia aktorskie wbrew woli ojca górnik.



„Konopielka”  
(1981), reż. Witold  
Leszczyński,  
Franciszek Pieczka  
jako Dziad/Bóg

Wyjątki robił podczas wyjazdów ze spektaklami, wtedy zostawał z zespołem na kolacji. – Kiedyś nawet podczas tournée po Ameryce porwał mnie do tańca i nieźle zmęczył, chociaż był o 22 lata starszy i mógłby być moim ojcem – wspomina Żółkowska. – Byłam w szoku, nikt nie znał go od tej strony.

– Dom i rodzina: żona, syn... To był fundament wartości. Może przez wychowanie na Śląsku, w prostej górniczej rodzinie, w której panowały przejrzyste zasady, w dorosłym życiu był facetem mocno zakorzenionym w rzeczywistości. Nie miał kłopotu z wyznaczeniem granicy między swoim zawodem, czyli światem fikcji, a życiem. I nie mam wątpliwości, że ważniejszy był świat realny, czyli życie – dodaje Jan Jakub Kolski.

– Nie było w nim żadnego skomplikowania. Obserwując go, widziało się człowieka, który prosto myśli i działa. Czuło się, że życie w gruncie rzeczy jest proste, tylko my, ludzie, je gmatwamy – opowiada Joanna Żółkowska.

W środowisku uchodził za odludka. Nawet aktorzy, którzy znali Pieczkę od 50-60 lat, spędzali z nim po 12 godzin na dobę na próbach, planach filmowych czy w studiach telewizyjnych, nie są pewni, czy mogli się nazwać jego przyjaciółmi. – Franio cenił swoją prywatność. Zaledwie parę razy byłem u niego w domu – mówi Kazimierz Kaczor, który znał Pieczkę od 1965 r., kiedy grali w Starym Teatrze w Krakowie, a potem siedział z nim ponad 40 lat w jednej garderobie w Teatrze Powszechnym w Warszawie.

– Był dość zamkniętym człowiekiem. Nie opowiadał za wiele o sobie. Kiedy kupił dom w Falenicy pod Warszawą, widziałem, że jest szczęśliwy, wreszcie będzie miał swoje gniazdo. Ale nie miał potrzeby zdradzania szczegółów ze swojego życia – opowiada Janusz Gajos. – Zrobił to tylko raz. Przed ujęciem na planie „Jasminum” powiedział, że umarła mu żona. Dopiero ta strata spowodowała, że się trochę otworzył, na co nie pozwalał sobie wcześniej. Wyznał, że właściwie nie wie, jak teraz bez niej żyć. W ustach Franka było to wyznanie bardzo intymne.

#### WYBIERAŁ RODZINĘ

– **AKTORSTWO** NIE BYŁO DLA NIEGO CAŁYM ŚWIATEM, MISJĄ, PRZYWILEJEM. Było zawodem, który wymaga nieco innych narzędzi niż na przykład górnictwo czy kowalstwo. Ale to wciąż kwestia rzemiosła, a nie posłannictwa – mówi Jan Jakub Kolski, który z Pieczką nakręcił 12 filmów i teatrów telewizyj.

Maciej Wojtyszko uważa, że Pieczka w każdej roli był wiarygodny. – Mógł grać chłopca, mógł grać księcia i zawsze to było w jakiś magiczny sposób szczerze i przekonujące. On się nie musiał przestawiać, bo po prostu odnajdywał właściwy ton roli – mówi reżyser.

Przez 40 lat był podporą jednego z najlepszych polskich teatrów – Powszechnego w Warszawie. – Osobny, nie angażował się w życie bufetu teatralnego, które, co tu dużo mówić, polega na tym, że gromada ludzi rozmawia głównie o sobie – wspomina Janusz Gajos.

– Wycofany, cichy, skupiony na roli. Nigdy nie widziałem, żeby reżyser narzucał mu jakieś inne wyobrażenie o roli niż to, jakie on intuicyjnie wybrał. Mruczał pod nosem, szukał właściwego tonu dla postaci, zastanawiał się, gdzie postawić

pauzę. Później się zorientowałem, że nigdy go nie interesowało analizowanie literackich odniesień. On robił porządek w roli. A do bufetu przychodził wcześniej, nie po to, żeby plotkować. Po prostu trzeba się było najeść przed robotą – opowiada Olgierd Łukaszewicz. Poznali się w Dramatycznym w 1970 r., a już rok później spotkali się na planie zdjęciowym filmu „Perła w koronie” Kazimierza Kutza. – Kiedyś lecieliśmy samolocikiem, Wilgą, bo trzeba było szybko przenieść się z planu koło Zabrza do teatru w Warszawie. Myliśmy się szybko proszkiem Ixi z tego uczernienia i wsiadaliśmy do samolotu. Pilot miał fantazję, poleciliśmy dosyć nisko, aż kury pod nami uciekały. Przelecieliśmy też nad jego domem w Falenicy, Franek pomachał. Nie wiem, czy ktoś to zauważył – wspomina aktor.

W teatrze nie spędzał ani minuty dłużej, niż musiał. Zespołu nie traktował jak rodziny, teatr był dla niego miejscem pracy.

– Nigdy nie widziałam go na żadnym bankiecie, kończył spektakl i wychodził, wszystko jedno, czy była premiera, czy setne przedstawienie – mówi Joanna Żółkowska.



„Jańcio Wodnik” (1993), reż. Jan Jakub Kolski. Na zdjęciu Franciszek Pieczka i Grażyna Błęcka-Kolska

#### ZAWSZE WSTAWAŁ

**W 2008 r.** FRANCISZEK PIECZKA PRZYGOTOWYWAŁ SIĘ ZE ZBIGNIEWEM ZAPASIEWICZEM do farsy „Słoneczni chłopcy” w Powszechnym. – Zbyszek, który był wtedy bardzo chory i w słabej formie, źle znosił uwagi reżysera. Sytuacja była trudna, powietrze było pełne sztyletów, że zacytuję Szekspira – wspomina reżyser Maciej Wojtyszko. – Obaj byli zdenerwowani, więc nosiło nas od ściany do ściany, sceny nie wychodziły. I wtedy pan Franciszek wybuchł. Zrobił awanturę za mnie, bo ja, jako młodszy od nich obu, nie mogłem jej zrobić. A pan Franciszek powiedział Zapasiewiczowi: albo gramy, albo nie. Nie widziałem go nigdy w takiej furii. Po czym chłopaki się przeprosili, zrobili przedstawienie i wszystko było dobrze. Taki był Pieczka. Potrafił pomóc reżyserowi w niezwykle taktowny sposób, a równocześnie podać rękę koledze.

W ostatnich latach publiczność kojarzy Franciszka Pieczkę jako Stacha Japycza, nestora wsi Wilkowyje, stałego bywalca spotkań na ławeczce. Na planie „Rancza” znalazł się przypadkowo. – Leon Niemczyk grający Jana Japycza ciężko zachorował, właściwie powinien był pójść do szpitala, ale bardzo chciał grać. Wymyśliliśmy więc postać bra-

ta, który będzie się zajmował filmowym Japyczem. Poprosiliśmy o to pana Franciszka Pieczkę, bez gwarancji, że się zgodzi – wspomina reżyser „Rancza” Wojciech Adamczyk. – Spodobał mu się scenariusz, a poza tym był nie tylko wielkim aktorem, ale także człowiekiem o dobrym sercu. Wiedział, że Leon Niemczyk właściwie odchodził na planie, chciał pomóc spełnić mu ostatnie życzenie – grać jak najdłużej. Jedną legendą pomagała drugiej. W tym naszym interesownym, egoistycznym świecie widzieliśmy odruch bezinteresownej dobroci – wspomina reżyser.

Jest przekonany, że nie każdy aktor podjąłby się takiego zadania. – Pan Franciszek wykazał się ogromną życzliwością i tak naprawdę uratował drugi sezon oraz obecność pana Leona na planie. A od trzeciego sezonu stał się już kultową postacią na ławeczce – mówi Adamczyk. – Zawsze wstawał, jak do niego podchodziłem. Mówiłem mu, żeby tego nie robił, ale on: „Nie, reżysera muszę słuchać na stojąco”.

Koledzy go uwielbiali, widzowie też. Specjalnie przyjeżdżali patrzeć, jak powstaje serial. A Pieczka znosił to ze stoickim spokojem. – Pewnego razu wielka grupa ludzi podbiegła do ławeczki, żeby

zrobić sobie z panem Franciszkiem zdjęcie i poprosić o autograf. I nagle słyszę w słuchawkach jego głos: „A odczep się ode mnie, cholera jasna!”. Pędzę zobaczyć, co się dzieje, a on swoim tubalnym głosem: „Panie reżyserze, bardzo przepraszam, ale ten tutaj już się ze mną ósmy raz wita”. I wskazał na lekko napitego gościa. Siedem razy wytrzymał – śmieje się Wojciech Adamczyk.

– Polacy kochali Franka za sylwetkę, siłę i moc, która z niego płynęła. Za proste, nienarzucające się człowieczeństwo. Kiedy członkowie załogi Rudego chwalą się umiejętnością, nie ma wątpliwości, że gwóźdź wbity w drzewo może wyciągnąć tylko Gustlik. Biła od niego prostota, ale też majestat. Powaga, ale i serdeczność. Trochę onieśmiała ludzi. Na planie zwykle pytali mnie, czy mogą do niego podejść – dodaje Jan Jakub Kolski.

– Był cudownym człowiekiem, dobrym duchem teatru: gdzie on był, nie działo się nic złego – mówi reżyser Maciej Wojtyszko. – Miał ogromne poczucie humoru i klasę, która wychodziła w trudnych sytuacjach. Nawet gdybym szukał u niego jakiejś wady, nie umiałbym znaleźć. **N**

[jacek.tomczuk@newsweek.pl](mailto:jacek.tomczuk@newsweek.pl)

[renata.kim@newsweek.pl](mailto:renata.kim@newsweek.pl)